

Magdalena Surowiec

PIĘĆ WSPANIAŁYCH LAT

Studia na Wydziale Górniczym rozpoczęłam w 1968 roku. Wybór Uczelni i kierunku studiów nie był przypadkowy – Wydział Górniczy szeroko i wyczerpująco informował o swojej działalności, a i mój ojciec, który kiedyś studiował na AGH w Krakowie, gorąco zachęcał mnie do podjęcia studiów na tym właśnie kierunku. Po pomyślnym zdaniu egzaminów wstępnych nastąpił mój pierwszy kontakt z władzami Wydziału i starszymi kolegami w ramach Dni Wstępnych. Był to koniec września 1968 roku. Bałam się tego spotkania, a równocześnie byłam jego bardzo ciekawa. Ciekawiło, mnie kto będzie mnie uczył, z kim będę studiować, jakich będę miała kolegów. Pierwsze wrażenie jakie odniosłam wstępując do gmachu NOT-u, gdzie mieścił się mój Wydział, było szokujące. Olbrzymi gmach, stara budowla – jakże różniło się to od budynków Politechniki na pl. Grunwaldzkim, gdzie zdawałam egzamin wstępny. W kilka dni później nastąpił mój pierwszy, prawdziwy kontakt z przyszłymi moimi wychowawcami i kolegami. Od samego początku, nie ujmując nic powadze Dni Wstępnych, czy późniejszej inauguracji roku akademickiego na Wydziale Górniczym, czuło się jakąś rodzinną atmosferę. Żywo mam przed oczyma spotkanie w Sali Kinowej NOT-u z prof. Z. Gergowiczem, ówczesnym dziekanem Wydziału Górniczego, z prof. W. Czechowiczem, doc. M. Jokielem – prodziekanem Wydziału; byli oczywiście goście z resortu górnictwa (to już tradycyjnie, co roku), starsi koledzy – pracownicy Wydziału. Uroczystość inauguracji uświetnił chór górniczy, w skład którego wchodziłi studenci Wydziału Górniczego oraz uczniowie (dziewczeta i chłopcy) Szkoły Podstawowej nr 46, których to nauczyciel śpiewu był dyrygentem chóru. Wspaniały śpiew, biało-granatowe mundurki szkolne na tle galowych mundurów górniczych – świetnie się to prezentowało ! Pamiętam, gdy przyszłam do domu po pierwszej swojej inauguracji z indeksem w ręce, długo opowiadałam, byłam pełna entuzjazmu i zadowolenia.

Pamiętam zainteresowanie starszych kolegów szczególnie nami – dziewczynami, a było nas wyjątkowo dużo tego 1968 roku, bo około dziesięciu. Podobno zapomniano zaznaczyć w ogłoszeniu o naborze na kierunek górnictwa odkrywkowego Politechniki Wrocławskiej, że jest limit przyjęć płci pięknej, a tyle nas zdało na bardzo dobrze no i tyle nas musiano przyjąć. Później okazało się, że zawsze w październiku starsze roczniki przychodziły pod salę pierwszego roku, aby obejrzeć jakie to dziewczyny przyszły na nasz Wydział. W tym pierwszym okresie wielu z nas miało pytania, niejasności, problemy, z którymi nie mogliśmy sobie poradzić. Cały strach, niepewność pryskały po pierwszych kilku słowach z ówczesną dziekanką – panią Adą Pietrusiewicz. Wtedy i później była jak najlepsza matka, przyjaciel – zawsze wnikała w każdy problem, później interesowała się sukcesami i niepowodzeniami na egzaminach, pomagała rozstrzygać życiowe sprawy. Była częścią tej

naszej dużej rodziny górniczej.

Po kilku pierwszych dniach, dosłownie i z nazwy wstępnych, nastąpiła poważna nauka i prawdziwe studiowanie. Miałam szczęście do świetnych pedagogów, osób które umiały zainteresować słuchaczy, mówili ładnie i ciekawie, byli bardzo komunikatywni. Do dziś pamiętam zajęcia z prof. Z. Gergowiczem, doc. W. Kołkiewiczem, prof. T. Żurem, prof. S. Wiśniewskim, prof. S. Dmitrukiem, doc. T. Górecką, doc. J. Gierwielańcem, prof. K. Tomkowem, prof. W. Hawrylakiem. Również asystenci – wychowankowie Wydziału byli wspianymi ludźmi. Jeśli ktoś z nas nie miał odwagi iść do wykładowcy, bał się profesora czy docenta, to mógł skorzystać z rad tych młodych, wspianych ludzi. Dziś mogę to głośno powiedzieć – była różnica w atmosferze zajęć prowadzonych przez ludzi zawodowo związanych z naszym Wydziałem, tzw. branżowców a ludźmi spoza Wydziału. Nie wiem na czym polegała ta różnica, ale czuło się pewien szkolny dystans na zajęciach z matematyki, fizyki, chemii pomiędzy wykładowcami a słuchaczami. Tego nie było na tych naszych „zawodowych” zajęciach. Pomimo, że mieliśmy ogromny szacunek do naszych „wydziałowych” pedagogów. Baliśmy się egzaminów zdawanych z zawodowych przedmiotów, a jednak chętnie uczestniczyliśmy w tych zajęciach. Ta rodzinna atmosfera, o której wcześniej już wspomniałem bardzo mobilizowała nas do wszelkich działań – i tych związanych ze studiowaniem i tych poza – związanych z pracą społeczną. Było nas na Wydziale ok. 250, a wszędzie gdzie dało się, było o nas głośno. Sławni byliśmy na polu działalności ruchu naukowego, sukcesy odnosiliśmy w kulturze, silni byliśmy w sporcie. Pamiętam, jak dziewczęta z Wydziału Górniczego wygrały Mistrzostwa Politechniki w grach zespołowych. W czasie tej imprezy kilka z nas grało w siatkówkę, koszykówkę i po krótkiej przerwie „odświeżone” byłyśmy gotowe tworzyć zespół piłki ręcznej. Mobilizowało nas dodatkowo żywe zainteresowanie władz Wydziału, a szczególnie doc. M. Jokiela, który zawsze dopytywał się przed zawodami „jak forma, jak będzie?”. Ubolewał, gdy któraś z nas była w niedyspozycji. W czasie Dni Kultury Politechniki, Ligi Instytutów stawaliśmy oko w oko z takimi potęgami jak Elektronika czy Wydział Mechaniczny i wcale nie byliśmy gorsi. Bardzo atrakcyjne były zawsze Dni Wydziału. Organizowaliśmy rajdy, mecze piłki nożnej naukowcy contra studenci; jako przedmecz było spotkanie dziewczęta contra chłopcy. Bardzo uroczyste był zawsze obchodzony Dzień Górnika – Barbórka. Sławne wówczas bale barbórkowe na ok. 1000 osób, na które cały „wielki świat Wrocławia” chciał się dostać, a z uwagi na ograniczoną ilość miejsc było to niemożliwe. Dwie sale balowe, trzy orkiestry, bufety i pełna gala. Nie spotykało się dżinsów i rozpiętych koszul; dominowały muszki i długie suknie. Ta cała oprawa zmuszała wszystkich do elegancji. Tradycyjny polonez rozpoczynał bal. I to wszystko sami organizowaliśmy przy silnym wsparciu wielkiego protektora tradycji górniczych prof. W. Czechowicza. Komitet Organizacyjny zawiązywał się dobrych parę miesięcy wstecz. I ciężko pracował, ale zawsze po uroczystościach barbórkowych mieliśmy

dużo satysfakcji. Wszyscy byli zadowoleni, choć odrobinę zmęczeni. I ktoś mógłby powiedzieć „tak, łatwiej chyba było wam studiować, bo mieliście dzięki tej aktywności ulgi”. Nieprawda, nie chcieliśmy, nie umieliśmy z tego korzystać. Zabawa – to była jedna sprawa, a nauka – to była druga, niezależna sprawa. Właśnie ta rodzinna atmosfera dodatkowo mobilizowała nas do pracy. Głupio było po jakimś sukcesie, np. sportowym, pokazać się na kolokwium i dostać dwóję czy usprawiedliwiać się podając jako powód – zawody sportowe. Dumni byliśmy, że studiujemy na tym właśnie Wydziale. Mieliśmy mundury galowe, w które chętnie ubieraliśmy się na szczególne uroczystości. Byliśmy małym dzieckiem Politechniki Wrocławskiej, o którym było coraz głośniejsze. Do przemysłu trafili nasi pierwsi absolwenci i szybko okazało się, że nie byli gorsi od swoich kolegów z krakowskiej AGH czy Politechniki Śląskiej, a często nawet lepsi. Pamiętam jak byliśmy na praktyce w KWB „Turów”, na wycieczce w KWB „Konin” i miło było słyszeć same dobre rzeczy o naszych starszych kolegach. Z pewnością łatwiej było nam załatwić wiele spraw związanych z pierwszą pracą, mieliśmy już przetarte ścieżki. Kończąc te moje wspomnienia jedno mogę powiedzieć – te pięć lat studiów wspominam jako jedno z najlepszych w moim życiu. Było w nich dużo osobistej satysfakcji, dużo rozsądnej i ciekawej pracy, spotkałam w tamtym okresie wspaniałych i mądrych ludzi, zawarłam wiele trwałych znajomości. Na wielu ludzi wtedy spotkanych do dziś mogę liczyć, choć wcale nie utrzymujemy kontaktów na co dzień. Pamięć tamtych lat jest wciąż bardzo żywa.

Wrocław, maj 1988 r.